

① A wszystko zaczęło się 6 grudnia

A wszystko zaczęło się 6 grudnia tego roku. To tak niedawno.

W marzeniach dzień zapowiadał się jak każdy grudniowy poranek w Polsce jeszcze kilkanaście lat temu. Słoneczny, mroźny. Śnieg iskrzący w promieniach wstającego słońca. Lekki, orzeźwiający wiaterek, jak bryza morską. Sójki ciągle nie za morzem i dobrze. Są takie kolorowe i żywe. Latają tam i z powrotem. Dzięki nim wiem na pewno, że to co widzę to nie kartka świąteczna.

Nie odleciały, może za duża konkurencja na niebie. Były się tylko nie odzywały. Nie zawsze to co piękne dla oka ma ładną duszę, głęboki



dźwięczny głos, przenikliwy umysł itd. Sójki to wiedzą. Były się nie odzywały.

A propos kart świątecznych. Trzeba myśleć o kartkach dla rodziny i przyjaciół.

Paru wrogom też wysłać życzenia, może się odczepią.

Już wiem, wysłać te z poprzedniego roku i te z jeszcze poprzedniego.

Dobrze, że nie mają daty ważności.

Marzyłem o takim właśnie poranku ale niestety trzeba wstać z wyrażenia i zweryfikować po raz kolejny rzeczywistość. Jak każdego poranka spojrzeć z przestrachem za okno.

Czemu ja zawsze się czegoś boję?

Jak było tego poranka naprawdę? Odważyłem się, wyglądałem.

Nie byłem w Polsce, lato jak srebro, wiał wiatr z siłą pewnie 10 w skali Beauforta. Promy przez kanał na pewno nie pływały, na 100%.

Dlaczego rzeczywistość jest najczęściej tak daleka od marzeń?

Marzenia to zdecydowanie najlepsza funkcja mózgu.

Dziś kiedy to analizuję sądzę, że właśnie wtedy się TO stało.

Musiała być jakaś dziura w stratosferze. Przedarły się promienie. Może gamma, może ypsilon. Myślę, że jeszcze uczeni nie wiedzą o ich istnieniu.

Zawsze sądziłem, że to co w niebie i z nieba to niewidoczne, ale ja je zobaczyłem, widziałem na pewno.

Wiązka była szybka jak myśl, cieniutka jak nić pajęczyny, ostra jak skalpel chyba nawet jak język teściowej.

Oberwałem prosto w lewy płat mózgowy. To tam miałem schowane zawsze strach, obawy, nawet pecha tam ulokowałem.

Poczułem lekki swąd, przełknąłem z przestrachem ślinę. Była jakaś inna, coś jakby przypalona. Zachnąłem się, wróciła. Otworzyłem okno i dołożyłem swoją cegielkę do tej ulewy.

W tej samej sekundzie stało się. Nawet nie wiem czy sekunda jest podzielna ale mam wrażenie, że to było krócej.

Pogoda za oknem przestała mieć znaczenie.

To ciekawe jak różne sytuacje są odbierane subiektywnie. Na przykład w zależności od pogody, od nogi, którą właśnie wstaliśmy z łóżka i to z czyjego.

Natchnienie, olśnienie, bezkompromisowa odwaga, wiara we wszystko i we wszystkich. Uczucie zadowolenia jakie zapewne musiał mieć Hugh Hefner na 50-cio lecie PLAYBOY-a już po części oficjalnej.

Zabrakło tylko jednego jasnowidzenia. I dobrze.

Niech się stanie co ma się stać.

Zaczynamy.

Zobaczymy co z tego będzie....

A.B.

② Po cholere mi ta Anglia?

Za oknem rozciągała się równina. Słońce powoli zachodziło. To już chyba dziesiąta godzina podróży. Zamknąłem oczy. Zobaczyłem jak do mnie macha Janek. Ania ma łzy w oczach.

Do czego zmusiłem własną rodzinę. A może to nie ta? Zawsze szukam winy w sobie.

Do czego zmusił mnie mój kraj? Mogłem szukać innej pracy. Ale za ile? Za półtora tysiąca?! Tak naprawdę to chyba nawet dobrze, że tak się stało. Sytuacja zmusiła mnie do podjęcia takiej decyzji.

Zadzwoń do Waldka. Jest już dziesięć lat w Londynie. Jego ojciec mówił, że doskonale się tam urządził. Obiecał, że załatwi mi pracę i będę mógł u niego mieszkać aż „stanę na nogi”. Przedmieścia Londynu nie wyglądały tak okazałe jak w telewizji. Inaczej było w centrum. Wysiadłem na dworcu, na którym miał na mnie czekać Waldek. Chodziliśmy razem do średniej szkoły. Zналиśmy się jak „łyse konie”. Rozejrzałem się wokół siebie. Wszędzie tłum ludzi. Szukałem igły w stogu siana.

Nieprzebrane morze ludzkich głów. Ale żadna niestety nie była podobna do mojego kolegi ze szkolnej ławy. Zacząłem się niepokoić. W kieszeni miałem trzysta funtów. Szkoda mi było wydawać na telefon.

Matematyka pokazała co innego. Po krótkiej kalkulacji wyszło na to, że muszę zadzwonić. Żeby zadzwonić muszę rozmiąć dwadzieścia funtów. Hmm... Jeszcze chwilę zaczekam. Może za chwilę się pojawi. Niestety rzeczywistość zmusiła mnie do rozmięcenia dwudziestu funtów na drobne. Wiedziałem, że natychmiast je wydaję. chyba dlatego się tak z tym ociągałem. W słuchawce usłyszałem znajomy głos. Jestem w korku.

Niedługo będę. Kup sobie jakąś kawę w Starbucks coffee i cierpliwie poczekaj. Łatwo mu powiedzieć: kup jakąś kawę w Starbucks coffee. Przecież to kosztuje prawie trzy funty. To „zaraz” było takie

same jak u mojego ojca. Strasznie mnie to denerwowało. Ojciec zawsze miał prawo powiedzieć „zaraz”; ja nigdy. Zauważyłem to samo u siebie. Gdy Jaś mnie prosił o coś bardzo często mówiłem za chwilę. Gdy ja pytałem Jasia czy odrobił lekcje w odpowiedzi usłyszałem: za chwilę skończę.

Waldek pojawił się prawie trzy godziny po rozmowie telefonicznej. W końcu jakaś znajoma twarz. Uściskaliśmy się jak za dawnych czasów. Czas był dla niego łaskawy. Nic się nie zmienił. Zawadiacka mina, czasami ozdabiana rozbijającym uśmiechem. Szerokie barki, szczupła sylwetka i te zielone oczy. Pamiętam jak moja babcia powiedziała kiedyś do niego, że będzie miał kłopoty przez te swoje „oczęta”. Taki to sobie żyje. Od dziesięciu lat mieszka w największym mieście Europy. Angielski w jednym palcu, dobra robota, dobrze płatna. Czego tu od życia więcej chcieć. Wsiadliśmy do metra. Za bilet zapłacił Waldek. Chociaż tyle dobrego z tego jego spożnienia. Wspomnieliśmy stare czasy. Jechaliśmy okolo czterdziestu minut. Wyszliśmy na powierzchnię... poczułem się jak bym wysiadł z jakiegoś wehikułu, który bardzo szybko się przemieszcza. Gdyby nie zabudowa śmiało mógłbym powiedzieć że to jakieś afrykańskie miasteczko, które najechała gromada tureckich turystów. Waldek powiedział, że jesteśmy w okolicach seven sisters. Dalej pojedziemy autobusem. Wszystko dookoła było takie egzotyczne. W końcu dotarliśmy na miejsce. Poczułem ogromne zmęczenie. W walizce miałem butelkę Żubrówki dla mojego kolegi w prezencie, a drugą do „rozpracowania”. W domu głucha cisza. Dom był urządzone bardzo skromnie, nawet trochę niedbale. Nie byłem tym zdziwiony. Dopiero gdy zamieszkałem z Anią zacząłem dostrzegać ile zmian wnoszą do mieszkania kobiety. Nawet nie wiem kiedy zasnąłem. Obudził mnie

Waldek. Była szósta rano. Lekki kac. Dziękować bogu, że obyło się bez bólu głowy. W drodze do łazienki spotkałem rosnącego... murzyna. Nie jestem rasistą, ale skąd murzyn w domu Waldka?

W drodze do pracy dowiedziałem się, że człowiek, którego spotkałem w drodze do łazienki jest... właścicielem!? domu a Waldek tylko sobie pomieszkuję u niego czasowo. Zaskoczyła mnie ta informacja, ale jak szybko się pojawiła tak szybko zniknęła.

Do pracy jechaliśmy półtorej godziny. Plac budowy był niewielki, kupa błota i gruzu. Zostałem pomocnikiem Waldka. Ogarnął mnie spokój. Liczyłem na to że przez jakiś czas będę miał „taryfę ulgową”.

Wybiła trzynasta. Pora obiadowa. Czas na przerwę. Wyciągnąłem z plecaka kanapki, które przedwczoraj zrobiła mi Ania. Ciekawe co tam u niej? Jak się czuje Jaś?

Po przerwie podszedł do mnie szef i powiedział, że teraz pojedę z Andrew do magazynu po towar. Zapytałem swoją łamaną angielszczyzną o Waldka. Odpowiedzi nie zrozumieliśmy.

O godzinie siedemnastej zakończyłem pierwszy dzień mojej pracy. Byłem z siebie zadowolony. Ale gdzie jest Waldek?! Nikt nie potrafił mi na to pytanie odpowiedzieć. Prawda jest bolesna: mój angielski jest taki jakby go nie było. Nie znam adresu, nie wiem jak kupić bilet na komunikację miejską, nie mam telefonu, aby móc zadzwonić do Waldka. I co dalej? Po cholere mi ta Anglia! Ania miała rację. Lepiej biednie, ale razem, w domu, przy rodzinie. Dlaczego ona ma rację wtedy kiedy nie chce żeby miała rację!

C.D.